

Ścieżkę „na Parnas” każdy musi okupić własnym doświadczeniem...

– z Krystyną Konecką rozmawia Justyna Sawczuk



foto Justyna Sawczuk

Justyna Sawczuk: 50 lat pracy twórczej – brzmi dumnie. Czuje Pani dumę, patrząc na swój dorobek? A może towarzyszą Pani inne uczucia?

Krystyna Konecka: Takiego uczucia jak duma nie odczuwam w żadnym wypadku. Dumny jest na pewno inny jubilat z tego samego maja 1972 roku – Polskie Linie Lotnicze LOT, których samolot właśnie wtedy wykonał swój pierwszy rejs poprzez ocean na, największe podówczas na świecie, lotnisko w Chicago, a teraz na tej trasie lata rocznie blisko 200 tysięcy pasażerów. Czytałam o tym sukcesie – z dumą. Moje osiągnięcia są niewielkie, zwłaszcza w porównaniu do wielu ludzi pióra w kraju i w naszym województwie. Na pewno odczuwam jednak satysfakcję, że było mi dane doczekać

takiego jubileuszu, że znalazłam właściwą dla siebie formę poetycką, jaką jest sonet, w którym czuję się dotąd najbezpieczniej. Że ta poezja znajduje czytelników oraz życzliwość krytyków. Teraz – jest to też odrobina radości, i wzruszenie, że Książnica Podlaska, z którą czuję się związana od ponad 40 lat, wydała właśnie moją książkę oraz wspaniale zorganizowała w swoich murach to moje literackie święto, za co pragnę wyrazić wdzięczność.

Jak zmieniła się Pani twórczość na przestrzeni tych 50 lat?

Zawsze, zapewne podświadomie, odczuwałam muzykę klasycznych form wiersza. Podejmując już pierwsze próby

liryczne, na długo przed debiutem prasowym, wiązałam je z wewnętrznym poczuciem rytmu i rytmu, zapewne także pod wpływem książek poetyckich, którymi się zaczytywałam, zwłaszcza z okresu, kiedy mowa wiązana była rzeczywiście „wiązana” wszelkimi regułami. Debiutancki, niestrofowy wiersz pt. *Dedykacja* (zadedykowany reżyserowi Kazimierzowi Kutzowi), jaki pojawił się w maju 1972 roku na łamach katowickich „Poglądów” był konsekwencją tych sympatii. Podobnie zrytmizowany, coraz bardziej świadomy był też wiersz *Narodziny*, który mimo rymowanej formy otrzymał III nagrodę w ogólnopolskim konkursie na wiersz o Warszawie w 1974 roku.

Nieco później zmierzyłam się z formą sonetu, a w roku 1977 napisałam cykl 14 sonetów, powiązanych ze sobą pierwszymi i ostatnimi wersami. Pierwszy powstał w drodze do domu, kiedy wracałam wieczorem z katowickiej drukarni po dyżurze przy powstawaniu numeru mojego tygodnika „Echo” w Tychach (gdzie podjęłam pracę w zasadzie równocześnie z debiutem poetyckim). Dlatego pierwszy wers pierwszego sonetu w pierwszej książce poetyckiej to: „W wieczornym autobusie zamilknę o wszystkim”. Ta książka, raczej książeczka pt. *Sonetu codzienne* ukazała się w 1978 r. w tzw. czarnej serii Związku Literatów Polskich w Katowicach na pakowym papierze.

Od tej debiutanckiej publikacji do wydanej w roku 2020 w Kanadzie – cyklu „sonetti a corona” pt. *Kruchość* – upłynęła niepostrzeżenie epoka. Nigdy przez te lata nie wydałam książki z innymi niż sonety, wierszami, próbując tylko mierzyć się z odmianami sonetu petrarkowskiego czy szekspirowskiego. Jeżeli mówić o zmianach w mojej twórczości, to wiążą się one z tematyką sonetów. Ale to przynoszą przygody życia, podróże, doświadczenia losu.

A czy na przestrzeni tych lat, gdy Pani tworzy, zmienił się odbiór poezji wśród czytelników i jej miejsce na literackiej mapie Polski?

Nie zajmuję się przekrojową analizą poetyckich zjawisk w kraju, mogę powiedzieć o tym raczej w oparciu o własne doświadczenia, nagromadzone podczas wieloletniego uczestnictwa w takich imprezach jak Warszawska Jesień Poezji, Międzynarodowy Listopad Poetycki w Poznaniu,

Festiwal Poezji Słowiańskiej, czy Międzynarodowa Galicyjska Jesień Literacka. Dawna kameralność spotkań z poezją, także śpiewaną, w przeróżnych piwnicach (nie tylko w krakowskiej „Pod Baranami”, czy w stołecznej „Starej Prochowni”) pozwalała uczestnikom na bardziej osobisty, intymny kontakt z nastrojem i przesłaniem wiersza. Przez cały wiek XX stopniowo zmieniały się konstrukcje poetyckie, aż znakomity poeta i krytyk literacki Andrzej

Krzysztof Waśkiewicz określił je jako „powszechna bylejąkość formalna”.

Zmieniła się też, za sprawą internetu, dostępność do słowa, do litery: wprawdzie w wielu księgarniach znikają regały z książkami poetyckimi (a nawet całe księgarnie), o czym wspominałam kilka lat temu

podczas sejmiku poetyckiego w Książnicy Podlaskiej, za to na przeróżnych portalach i blogach autorzy publikują, a czytelnicy czytają w sposób nieograniczony wszystko to, co pojawia się pod wspólnym mianem poezji. Jej promocji służą też niezliczone konkursy poetyckie, organizowane przez placówki kultury i przeróżne fundacje oraz ich rezultaty – antologie, almanachy i florilegia, powstające również jako wizytówki imprez literackich.

Sama nie mam strony czy bloga, ale praktyczne uwagi znajomych w rodzaju „nie jesteś na Facebooku – nie istnieje” jakoś mnie nie przekonały. Zapewne z powodu braku odwagi do publicznych konfrontacji z innymi poetami, także takich jak coraz powszechniejszy slam, którego uczestników podziwiam – za chęci i umiejętność prezentacji własnej twórczości przy pomocy różnorodnych narzędzi wizualno-werbalno-akustycznych.

To niewątpliwie także kwestia mojego „signum temporis”, że nie przemawia do mnie rapowanie słowa lirycznego. Czy ta, również bardzo powszechna forma, rzeczywiście niesie przesłanie tekstu do słuchacza? W 2016 roku, podczas obchodów w Stratfordzie 400. rocznicy śmierci Williama Szekspira (jednego z moich mistrzów), słuchaliśmy trwającego przez 5 godzin nocnego maratonu rapowania wszystkich jego 154 sonetów. Prezentował je ciemnoskóry artysta Devon Glover – Sonnet Man. Wszystkim z zapytanych osób (które wiedziały, że to o miłości) performance podobał się, bo nastrój itd., ale nikt nie potrafił przytoczyć konkretnych słów.

*Zawsze,
zapewne podświadomie,
odczuwałam muzykę
klasycznych form wiersza.*

Sonet, pogardzany przez przeciwników form klasycyzujących, jednak pojawia się znowu, podobnie jak poemat czy fraszka. Bo z literaturą i sztuką bywa tak jak z modą tekstylną: wszystko już było, więc dlaczego nie sięgać do tego, co sprawdzone. Podczas tegorocznego Światowego Dnia Poezji sonet został szczególnie, bardzo obszernie uhonorowany na łamach periodyku „POEZJA dzisiaj” przez redaktora naczelnego, Aleksandra Nawrockiego. Miałam zaszczyt uczestniczyć w przygotowaniach wizualnych do, organizowanego pod egidą pisma przez poetę Pawła Krupkę, specjalnego projektu wizualno-muzycznego z sonetami oraz uczestnictwa w nim, z udziałem muzyków i aktorów, na początku kwietnia w stołecznym Domu Polonii. Rozszerzony program prezentowaliśmy (bez rywalizacji) w dniu 8 czerwca w Międzypokoleniowej Klubokawiarni warszawskiego Domu Kultury „Śródmieście” pn. „Sonety dawne i nowe z Polski i innych krajów Europy”. Byłam wzruszona frekwencją na tym, blisko dwugodzinnym spotkaniu, serdecznym przyjęciem nas przez gospodarzy oraz wieloma profesjonalnymi, miłymi wypowiedziami publiczności na temat naszej prezentacji.

Ilość „okołopoetyckich” aktywności, o których Pani wspomina, sugeruje że ludzie chcą czytać poezję, znajdując przy tym nowe formy jej prezentacji i interpretacji. To ciekawe, bo moje doświadczenia wskazują, że poezja jest „produktem” niszowym. Mam wręcz wrażenie, że ta łatwość pokazania swej twórczości światu za pośrednictwem internetu, sprawiła, że więcej jest (często samozwańczych) poetów aniżeli czytelników łaknących kontaktu z liryką.

Ależ ma Pani rację: poezja zawsze była, jest, i chyba pozostanie „produktem” niszowym. To bardzo szczególna forma twórczości człowieka, od autora wymagająca rozległej wiedzy o języku i świecie. Także – samowiedzy, umiejętności precyzowania myśli, przy czym angażująca w ogromnym stopniu emocje piszącego, jak chyba żadna inna działalność twórcza. Do tego – niegdyś poeta musiał podporządkowywać się „reżimowi” przeróżnych reguł i zasad wersyfikacyjnych, co odróżniało wiersz od prozy. Zatem musiał być naznaczony tym „darem bożym”, żeby go poezja była poezją.

*(..) poezja
zawsze była, jest,
i chyba pozostanie
„produktem” niszowym.*

Rozprężenie formalne sprawiło, że obecnie trzeba dysponować szczególnymi predyspozycjami, żeby napisany wiersz wolny, wiersz biały niósł w sobie jakieś przesłanie uniwersalne, trafiające do czytelnika. „By żyć w ludziach”, jak to celnie zdefiniował w 1985 r. redaktor naczelny „Poezji”, Bohdan Drozdowski.

Tymczasem obecnie, w epoce internetu i kultury obrazkowej, można być poetą nie trzymając się żadnych zasad, za to prezentując dowolny „produkt” wyobraźni, prozę poetycką (to jeszcze znakomicie), czy w ogóle – prozę rozczłonkowaną na kilkanaście pozbawionych logiki wersów, za to opatrzoną intrygującą ilustracją. Wspomniany redaktor Drozdowski stwierdził także, iż „Łatwizna wolnego wiersza sprawia, że każdy (...) może pisać »wiersze«, więcej – on nawet musi pisać »wiersze«, gdyż uważa, że pisząc »wiersze« staje się kimś więcej, niż gdyby wierszy nie pisał, choć powiększenie nicości jest niemożliwe... A jednak często bywało, i bywa, że „wiersze” otrzymują wysoką ocenę kolegów – recenzentów, jak to doskonale przed wieloma laty sprecyzował w swoich strofach *W obronie wiersza* Leopold Staff:

*Gdy modny belkot snobistycznej blagi
Krytyk zaciemnia kadzidlany dymem,
Doszło do tego, że aktem odwagi
Jest wiersz napisać z rytmem, sensem, rymem.*

Na zupełnie przeciwnym biegunie istnieje poezja współczesna najwyższej próby, także w naszym regionie, a nazwiska poetów, ich książki, spotkania na forum krajowym, recenzje i komentarze, oraz to, co najlepsze w tradycji, gromadzi i prezentuje od lat, poza internetem, Zbigniew Fałtynowicz w kwartalniku „KRONIKI według Muzeum Marii Konopnickiej w Suwałkach”.

Mimo wszystko – „czytelnicy łaknący kontaktu z liryką” jednak gdzieś istnieją. Mogę to potwierdzić wieloletnimi doświadczeniami – że wrócę na własne podwórko. Zarówno podczas spotkań autorskich w licznych placówkach kultury w Białymstoku, jak również w Warszawie, Augustowie, Krakowie, bibliotece w Zakopanem, w Domu Mehoffera w Krakowie, w klubie fińskim w Porvoo czy w angielskim Bristolu zawsze

spotykało się liczne grono słuchaczy. Radość z ich obecności, możliwość dzielenia się z nimi tajemnicą poezji, przez te wszystkie lata mieszała się jednak z uczuciem tremy jak przed maturą, i tak pozostało do dzisiaj...

Mając wiedzę i doświadczenie, zdobyte podczas 50 lat pracy twórczej, co dziś powiedziałaby Pani Krysi Koneckiej, będącej na początku swojej literackiej drogi? Jakie wskazówki by jej Pani dała, przed czym przestrzegła?

Tej młodej, tej małej z pierwszych lat pisania, chciałabym w jakiś sposób wyrazić uznanie, a nawet podziw, że w bardzo trudnych, naznaczonych traumą latach adolescencji, odnalazła swój azyl w książkach. Obchodzący właśnie 100 rocznicę urodzin prof. Aleksander Krawczuk przypomniał w krakowskim wywiadzie zasadę: „...nie zmieniać lekkomyślnie miejsca swojego pobytu ani adresu zamieszkania”. Ale co mogła, osierocona przez ukochanego ojca, nastolatka z rozbitej, niemal dysfunkcyjnej rodziny, przemieszczającej się co kilka lat z miasta do miasta, i z mieszkania do mieszkania, gdzie nigdy nie miała własnego kąta? Mogła tyle, że – podlegając przeróżnym opresjom, ograniczeniom, karom za nic, samotności – sama znalazła remedium: zbudowała swój wspólny, bogaty świat wyobraźni oparty na literaturze, sięgając także po pozycje dla dorosłych, z najwyższej półki. Dotychczas zdumiewają mnie jej wczesne zainteresowania poetyckie, z których zrodziła się taka niecodzienna,

[Poezja]
*To bardzo szczególna
 forma twórczości człowieka,
 od autora wymagająca
 rozległej wiedzy o języku
 i świecie. Także – samowiedzy,
 umiejętności precyzowania
 myśli, przy czym angażująca
 w ogromnym stopniu emocje
 piszącego, jak chyba żadna
 inna działalność twórcza.*

przecież trudna, droga twórcza. Wprawdzie pisarka Zofia Kossak-Szatkowska stwierdziła, że „samotność jest największym i najbardziej koniecznym luksusem w życiu”, ale nie ona powinna prowadzić dziecko do dorosłości i życiowych wyborów, bo taka ścieżka pozostaje w biografii jak niezatarta blizna...

Jeżeli chodzi o jakiegokolwiek wskazówki, a zwłaszcza przestrogi dla tamtej, podejmującej pierwsze próby, to i wtedy było, i teraz jest, jak sądzę, podobnie.

Przepaść międzypokoleniowa zawsze rodziła opozycję młodych wobec starszych, teraz „dziadersów”, „boomerów”. Na poletku literackim widać było wszelkie antagonizmy, wyrażane publicznie, często obraźliwie. W życiu prywatnym, osobistym jest nie inaczej. Ci, którzy zaprzeczają, należą do wyjątków. Już widzę, jak niejaka „Krysia” wysłuchuje z uwagą ostrzeżeń czy napomnień jakiejś „ciotki rewolucji”. Nie, ona na pewno nie. Dlatego zawsze szła własną drogą, potykając się, przewracając i rozbijając do krwi twarz – jak niegdyś przez niewidoczny drut, rozciągnięty przez bezmyślnych kretyków (którzy istnieją – obok przyjaciół – w rzeczywistości, niezależnie od wieku). Może to zbyt drastyczna, jakże niepoetyczna, metafora, ale tak się dzieje także w naszym ulotnym świecie Muz: po prostu – własną ścieżkę „na Parnas” każdy musi okupić własnym doświadczeniem...

Dziękuję za rozmowę.